Ner 6. Kraków 15 marca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni J. Czecha hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

Numer dzisiejszy jest ostatnim tego kwartału. Upraszamy więc o wczesne nadsełanie zaległości i prenumeraty — oraz o wyraźne wymienianie **nazwiska miejsca zamieszkania i ostatniéj poczty** — gdzie ma być „Kalina“ posełaną.

Spis rzeczy z ubiegłego rocznika „Kaliny“ wkrótce zostanie rozesłany.

†

Ś. p. Matka MAKRYNA

MIECZYSŁAWSKA.

Nie umiemy właściwiéj i godniéj zacząć tego krótkiego wspomnienia o męczennicy naszéj Matce Makrynie zakonu sióstr Bazyljanek, jak postawieniem na czele naszego pisma znaku krzyża świętego, tego godła męczeństwa i odkupienia....

Dośćby już było na położeniu daty śmierci matki Makryny, nad któréj imię nie ma wymowniejszego świadectwa o strasznéj prawdzie, jaką w kilku słowach streszczamy.

Nastały okropne dla nas dni ucisku i próby.... Na tronie północnego państwa zasiadł pamiętny car Mikołaj. A jako trofea zawiesił nad tronem swoim baldachim purpurowy wykąpany w krwi ofiar 1830 roku, do prawicy ujął knut trój-ramienny, a lewą dłoń oparł na białéj czaszcze jednego z męczenników sprawy naszéj narodowéj.

A potém rzucił okiem na biedną naszą krainę, i wnet w pierś ziemi uderzyły gromy. — Car powstał z tronu i w burzliwéj nocy przechadzał się po swoich dzierżawach, a kędy stąpił, jak kłosy na plon niedaleki, wyrastały z pod stóp jego mogiły i szubienice.

Na drodze do Kamczatki leżały wybladłe trupy lub oparte o drzewa kościesze, — to drogoskazy przeszłości.

W takich to latach potępienia i grozy — rozpoczęły się prześladowania unitów.

Palono monastyry, knutowano kapłanów, lub w mroźną zimę kładziono twarzą na lód, a gdy ciało do lodu przymarzło — odrywano ich od ziemi męczeństwa. Albo zarzucano im smycze na szyje i pławiono w przeremblach.

Jedną z takich ofiar była matka Makryna.

Męczennica skazana na tułactwo w samotrzeć uszła do Rzymu — i tam jak święta w rozmyślaniu spędzając resztki skołatanego żywota, zasnęła w Panu d. 11. Lutego 1869 r.

Pokój jéj popiołom! *B.*

Historja sztuki dramatycznéj.

STUDIUM F. H.

(Ciąg dalszy.)

II.

b) *O urządzeniu teatru greckiego.*

Rozchodzi się tedy o dokładne poznanie tragedji w jéj stałych przez zwyczaj i smak Greków uświęconych formach. Starożytna tragedja była czémś zupełnie inném, jak u innych narodów: była obrazem życia ludzkiego miotanego burzami namiętności. Obraz ten był jednak dalekim od scen powszednich, a piętno idealne było jego znamieniem.

Przedewszystkiém trzeba to miéć na baczności, że tragedją, a w ogóle dramat przedstawiano w Atenach zawsze tylko we święta Dionyzowe, których charakter wywierał wielki wpływ na swój twór, tak, iż w dramacie widzimy koloryt świąt Bachusowych: ogień, żywość i wyższy ustrój ducha, który umysły wyrywał z trybów powszedniego żywota, nadawał tak tragicznéj jak i komicznéj muzie niepospolitą miarę zapału, polatu i energii.

Kostium aktorów był dalekim od owéj naturalności, w stroju, jaką na rzeźbach greckich widzimy. Grek występował na scenie w sukni długiéj aż po kostki *(chiton)* pstréj, na którą zarzucał płaszcz purpurowy lub innéj jasnéj barwy, upstrzony obsadzeniami lub złotem tkany, tak prawie zupełnie jak na uroczystości Bacchusowéj. Kostium nie stósował się jak u nas do stanu osoby, gdyż każda osoba dramatu przechodziła z niziny powszedniości w wyżynę ideału: nawet ów żarłoczny atleta Herakl odrzucał na scenie skórę lwią, którą swą nagość pokrywał, a stroił się świątecznie w tkankę i purpurę, a pałka i łuk, bez których się obejść nie mógł, przybierały rozmiar taki, że raczéj

dla ozdoby niż dla potrzeby służyły. W chórach, które wystawiali bogaci obywatele (choregowie), sadzono się na jak najpiękniejsze stroje.

Zresztą nie miały osoby chóru, który miał podrzędny udział w czynności, żadnéj innéj oznaki; ale aktor, który losy bogów przedstawiał, i niejako bogiem na czas przedstawienia się stawał, musiał być czémś po nad poziom ludzki wyniesiony. Stało się to przedewszystkiém przez ogromnie wysoką podeszwę u tragicznego buta zwanego koturnem, następnie przez maskę kolosalnéj wielkości. Maska ta to zabytek ze świąt Bacchusowych, pod którą figle i psoty płatano, a w tragedji była nieodzowną. W stosunku do tych butów i maski i reszta ciała musiała przybrać odpowiednie rozmiary przez wypoduszkowanie.

Niepodobałaby się zapewne taka postać dzisiejszym lubownikom sceny, ale co ważniejsza, nie mogłaby gestykulować bez wzbudzenia śmiechu u widzów, nie mogłaby poruszać się z elegancją odpowiednią rolom dzisiejszych hommes du grand monde, nie mogłaby oddać gry zewnętrznéj ruchów, któréj wewnętrzne przejęcie się rolą wymaga, ku czemu u nas służy charakteryzacja itp. A jednak Grek w potocznéj rozmowie gestykulował bardzo żywo, a jednak namiętności w greckich tragedjach były silniejsze niż w naszych. Jakże tedy zadosyć uczyniono wymogom estetycznym? Odpowiedź moją zrozumieją czytelniczki lepiéj, jeżeli sobie przywiodą na pamięć, cośmy powyżéj o istocie greckiéj tragedji powiedzieli, że ona wychodziła wyżéj, niż nasza po nad poziom rzeczywistości, że tragedja ich miała piętno świąteczne. Ruchy i gesta bohaterów sztuki były poważne i majestatyczne, wyraziste i wybitne, do jakich nie potrzeba być ruchliwym jak „Ulicznik paryzki“, lub „Papkin fredrowski“. Miejsce naszéj charakteryzacji zastępowała maska odpowiednia charakterowi osoby działającéj — maska ta była wyrazista: nieco rozwarte usta, wielkie dołki oczne, nos duży, lica barwione; w tragedji była ona poważna, w komedji komiczna jak na naszych balach maskowych. Rzecz naturalna, że ta maska zachowywała przez całą sztukę jeden i ten sam wyraz, że gra serca artysty na niéj się nie odbijała, ale bo téż osoby działające raz porwane jaką namiętnością, przez całą prawie sztukę w niéj pozostawały, a jeżeli zachodziła potrzeba okazania innéj namiętności, to maskę między aktami zmieniano, jak np. Edyp Sofoklowy poznawszy swą zbrodnię i nieszczęściem przygnieciony w innéj występuje masce niż wtedy, kiedy się kąpał w promieniach chwały i szczęścia. Koniec końców na tym punkcie bardzo się Grecy różnili od nas. W starożytnych ludach klasycznych a osobliwie w Grekach w każdym kierunku tak życia jak nauki i sztuki objawia się równowaga ciała i duszy. Grek w codziennem życiu równie dba o ciało jak o duszę; oparty na zasadzie: zdrowa dusza w zdrowém ciele — dba o wydoskonalenie każego zmysłu. Rzeźby greckie nie mają oczu, przez które przezierając duch mógłby wziąść przewagę nad ładem linij; malarstwo u nich nie doszło do skończoności, bo w malarstwie duch wyrazem piękna przemawia. W chrześćjańskim świecie inaczéj. Duch bierze przewagę nad ciałem. Widać to w każdym objawie życia. W dziedzinie sztuk wykwita malarstwo i muzyka, a poezja wychodzi zwycięzko z berłem piękna w dłoni w romantyźmie, gdzie duch, treść zupełnie podbija formę, posługując się nią do upodobania. To samo widzieć można i w sztuce dramatycznéj! Duch tu gra życiem pełném, nieskrępowaném żadną formą estetyczną: wyraz jego co chwila inny stósownie do namiętności choć charakter osoby przeprowadzony przez całą sztukę i konsekwentnie rodzi wyniki i następstwa tworzące węzeł dramatyczny, kolizją, przyprawiającą równie jak w starożytnéj tragedji bohatéra o upadek, lub jednający mu zwycięztwo. Rozważmy tylko takiego Hamleta, Wallensteina, Marję Stuart i inne.

Czy te maski przyczyniały się także do wzmocnienia głosu artysty, na to trudno dokładną i stanowczą dać odpowiedź. To jednak pewna, że nie lada piersi i nie lada wprawy potrzebaby było, aby dobyć głosu, któryby przebiegł te ogromy zabudowania teatralnego i zadzwonił w uszach każdego słuchacza, jako mowa istoty nadziemskiéj, bohatyra lub boga, do którego wysokości artysta podnosił się zewnętrznie przez koturn, wypoduszkowanie i maskę. I jeżeli dla dzisiejszych ról bohatyrskich wymagają u artysty odpowiedniéj figury i głosu, jakież musiały być w téj mierze wymagania u starożytnych, którzy bogów lub półbogów na widowni widzieli? Głos aktorów greckich był donośny, dźwięczny, poważny, majestatyczny, który już w zwykłym djalogu w śpiew zdawał się przechodzić.

Po tych uwagach poznały może piękne czytelniczki zewnętrzną postać greckiego artysty dramatycznego. Teraz zastanówmy się nad budynkiem teatru i jego urządzeniem zastósowaném do przedstawienia scenicznego. Prawie każde miasto i miasteczko greckie miało budynek zwany teatrem. Ten budynek był z kamienia, ogromnych rozmiarów tak, żeby mógł pomieścić całą ludność miejscową. Ale myliłby się, ktoby myślał, że te teatra były tylko dla widowisk scenicznych. Były to raczéj domy publiczne na zgromadzenia i zabawy ludowe, na tańce religijne itp. cele. Teatr w właściwém słowa tego znaczeniu znachodzimy w pierwotnych czasach tylko w Atenach, gdzie wykwitła sztuka dramatyczna. Pierwotnie dawano przedstawienia dytyrambiczne a potém dramatyczne w budzie drewnianéj, a gdy się ta r. 500 przed Chr. zawaliła, wybudowano wspaniały gmach teatralny z kamienia, na placu poświęconym Dionyzowi ze strony południowéj zamku.

Chcąc dać o ile możności dokładne bez rysunku pojęcie o wewnętrznem urządzeniu teatru greckiego zwracam uwagę czytających na trzy istotne jego części: *a*) miejsce widzów (theatron), *b*) widownię (proskenion), czyli scenę, i *c*) orkiestrę lub konistrę (orchestra), w środku położoną. Miejsce widzów tworzyło półkole; siedzenia wznosiły się terasowo od sceny coraz wyżéj w półkolach koncentrycznych coraz większych do wysokości dwóch, trzech lub więcéj piątr. Zwykle budowano teatra na wzór ateńskiego, na stoku jakiegoś pagórka tak, żeby siedzenia można było w skałach góry wykuć. Do górnych rzędów siedzeń prowadziły schody idące z dołu w promieniach do wierzchnich piątr. Na takich siedzeniach zasiadało w Atenach około trzydzieści tysięcy ludzi, a każdy widział i słyszał dokładnie wszystko, co się na scenie dzieje. Choć siedzenia były wykute w skale, to jednak nie było obawy o niewygodę, gdyż były wykładane poduszkami, i nie brakło im na niczém z tego, na brak czego nie jeden miłośnik dzisiejszych przedstawień scenicznych narzeka, a miały to wszystko, czego my sobie dziś po dyrekcjach życzyć możemy. Prócz wygódek i w ozdoby nie były skąpe. Ruiny teatru w Tyndarydzie, mieście na północném wybrzeżu Sycylji, okazują pyszną galerję ze słupów, która zdobiła ostatni rząd siedzeń. Siedzenia były według stanu widzów tak podzielone, że w pierwszych rzędach rozpierały się osoby rządowe — a więc radzcy, sędziowie, kapłani, strategowie (dowódzcy wojskowi); część ta zwała się buleutikon. W dalszych rzędach siedzieli obywatele, prawdopodobnie nie uporządkowani według majątku; za nimi ich małżonki, a na najwyższém piątrze metoikowie, (tj. obywatele przyjęci z innych miast) i niewolnicy. Osobne rzędy mieli także młodzieńcy (efebikon). Gości czczono osobnemi łożami w rzędach obywateli. — *b*) Bezpośrednio przed rzędami widzów było miejsce dla chóru, orkestra lub konistra zwane. Miejsce to z początku nie miało podłogi lecz było równo ubite i piaskiem wysypane, ztąd nazwa „konistra“, a w Rzymie „arena“. Późniéj wykładano je płytami kamiennemi. A ponieważ tutaj chór tak tragiczny jak i komiczny wyprawiał swoje tany, więc zwało się to miejsce także miejscem tańców czyli „orchestra“. Dawniéj wyprawiały na tém miejscu chóry taneczników na cześć Dionyza tańce w dzień jego uroczystości, dla tego téż w pośrodku tego miejsca wznosił się t. z. thymele, ołtarz Dionyzowy. Ołtarz ten miał do koła schodki. Czy atoli ustawicznie ten ołtarz stał w konistrze, czy tylko podczas uroczystości religijnych na cześć Bacchusa, a na czas przedstawień scenicznych go uprzątano, trudno z pewnością orzec. Ponieważ orkestra leżała o 10—12 stóp niżéj od sceny, więc łatwo mógłby kto zarzucić, że trudno i arcyniezgrabnie było osobom chóru przestawać z osobami dramatu. Ale ta trudność i niezgrabność przestanie być zarzutem, jeżeli powiem, że na czas przedstawienia dramatycznego robiono podniesienie z desek, które zajmowało połowę konistry od sceny aż do tymele, i właściwą orkestrą dramatyczną się zwało. Na to podniesione miejsce, nie wiele niżéj leżące od właściwéj sceny, wychodził chór z dwóch stron: prawéj i lewéj z konistry po schodkach (parodoi); można je tedy uważać za część sceny, jak chór za orszak osób dramatycznych. Na téj orkestrze ustawiał się chór w czworoboku. Liczbę osób składających chór dramatu wzięto z liczby chóru dytyrambicznego. U Eshyla wynosiła ona 48, u Sofokla i Euripida 60 ludzi. Rozdzielano ją na cztéry części, po 12 lub 15 choreutów, z których każda na osobny dramat przypadała. Każdy tedy z dramatów składających trilogję, jako téż i dramat satyryczny miał swój osobny chór, zkąd można łatwo pojąć, jak mogły w Eshylowych Eumenidach występować dwa osobne chóry. W ustawieniu chóru baczono na wrażenie estetyczne na widzów. Choreutów piękniéj ubranych i lepiéj wprawnych w tańce stawiano w pierwszym rzędzie. Taniec chóru był dalekim od naszych polek, walców a nawet kadrylów, lecz poważny i majestatyczny nito pochód (trochę więc do naszego poloneza zbliżony) uroczysty, godny osób, jakie go składały: starców, matron, bogiń itd. Tragiczny taniec chóru zwany emmeleia przedstawiają nam pisarze jako najuroczystszą, najpoważniejszą część orkestyki greckiéj. — Z przyrządów teatralnych potrzebnych przy orkestrze prócz zagłębienia (anapiesma) i linij regulujących zwroty i ustawienie się chóru żadnych innych nie wymieniają. Ponieważ orkestra attycka stanowiła część sceny, więc nie było żadnéj zasłony (kurtyny), jak w teatrze rzymskim, któraby je od siebie oddzielała. Wystawienie chóru nie było rzeczą dyrekcji teatralnéj, ale publiczności, a raczéj rządu, który wyznaczył kilku obywateli (choregowie) na zebranie i przystrojenie chóru (choregia). W taniec, zwroty i śpiew wprawiał chór t. z. nauczyciel chóru (chorodidaskalos), którym był prawie regularnie sam autor dramatu przedstawianego jak Eshyl, Sofokl i inni. Na obsadzenie i przybranie chóru sadzili się majętni obywatele, uważano to bowiem za uczynek religijny, a zresztą łechtało to dumę każdego bogatego demokraty popisać się publicznie swoim gustem, znajomością poezji i muzyki. — *c*) Z orkestry po jednym lub dwóch schodkach wchodziło się na scenę. Wyrazem „skene“ oznaczano czasem widownię ze wszystkiém, co do niéj należało, ale była to właściwie nazwa ściany tylnéj a frontowéj dla widzów, a potem tak nazywano miejsce wolne przed tąż ścianą położone, na którém się akcja dramatu odbywała, w którém to znaczeniu i my ten wyraz pojmujemy. Dokładnie miejsce to nazywało się „proskenion“ albo „logeion“ tj. mównica, gdyż tu djalogi się odbywały. Prawa i lewa strona téj sceny (mó-

wiąc po naszemu) ograniczoną była dwoma bocznemi ścianami (paraskenia), które jako skrzydła frontowéj ściany do niéj przytykały. Główna ściana sceny (frontowa dla widzów) miała troje drzwi, któremi aktorowie na scenę wychodzili i ze sceny schodzili. Dekoracja téj ściany przedstawiała w tragedji zazwyczaj front pałacu. Środkowemi drzwiami, tak zwanemi „królewskiemi podwojami“ wychodził król lub inny władzca, boczne drzwi prowadziły do komnat kobiecych, gościnnych i innych. Czasami przedstawiała ta ściana świątynię, a drzwi na odpowiednie wtedy wskazywały komnaty; nieraz nawet osobliwie w dramacie satyrycznym przedstawiała widok przyrody i wtedy wcale inaczéj dekorowaną była. Najczęściéj zaś przedstawiała front pałacu. (C. d. n.)

All is true.

Na mogiłach urodzeni —
Patrzym w słońca jasny blask —
Co krwi strugą się rumieni
A rozwidnia dzienny blask.

Jasność zlana
Zwierciadlana,
Śród niebios się szkli —
I blask tęczy,
Ubarwiony
Krwią męczeńską, sierót łzami —
Jasnym kołem lśni.

A nad nami i przed nami
Temi blaski rozświetlony —
Widać życia nowy szlak.
Nie bławatném idzie polem,
Brak mu kwiatów — woni brak,
Ale pracą, trudem, bolem
Poprzeplatał swoją kolej —
I nią wiedzie w przyszłe dni:
Pogrobowców pokolenie
Przez cierpienia — w odrodzenie.

Czy to w doli — czy w niedoli,
Czy śmiech w oku, albo łzy —
Na mogiłach urodzeni
W pracy, znoju, w ciągłym trudzie
Śmiało idźmy tą koleją —
A orężni tą nadzieją,
Że po znoju — dzień pokoju
Życie blaskiem rozpromieni!

Cz. P.

Złote kajdany.

Ze starych pamiętników przepisał

Tadeusz Sławiński.

(Ciąg dalszy.)

* * *

— W kilka tygodni potém, ciągnął dalej pan Łukasz, przyjechał ongi komisarz. Z tym już nie łatwa była sprawa. Niemiec chciał nam zaimponować, dodać sobie wiele powagi. Wybrał sobie najlepszy pokój na czas trwania komisji i powiedział wyraźnie, że żąda wygód, a mianowicie ryb codziennie na obiad, bo to był jego ulubiony przysmaczek. Nie odmówiliśmy prośbie tak szanownego gościa. Zaprowadziliśmy go z trzema pachołkami do stawu i kazaliśmy mu wybrać sobie najlepszego gatunku ryby. Nieborak skąpał się porządnie w zamarzniętym stawie, zachlisnął się potężnie kilka razy, a gdyśmy go potém ztamtąd wyjęli, zrezygnował na wszystkie wygody i drapnął co żywo za swoim poprzednikiem.

Zdziwienie moje i wesołość rosły za każdém słowem tego opowiadania.

— Wreszcie nadjechał trzeci i ostatni, kończył pan Łukasz. Przyjechał jednak bez uniformu. Pomogliśmy mu do awansu kamieniem piekielnym, bo na drugi dzień powracał do domu z żółtą szyją zamiast złotego kołnierza i z trzema gwiazdkami na czole. Trzy tygodnie potém obwijał szyję i czoło, niby to od bólu gardła i głowy; pokazał się dopiero na świat, gdy ze skóry zlazły ślady kamienia piekielnego.

Łukasz ożywił się pod wpływem tych wielkich reminiscencji tak mocno, że zapomniał nawet o swojéj przestrodze, aby mu w jego opowiadaniu nie przerywać. Ależ bo nie przerwałbym mu był téj ciekawéj powieści za żadne pieniądze; czekałem milcząc z najżywszém zaciekawieniem dalszego ciągu i zakończenia.

— Odtąd, rzekł wreszcie Łukasz, nie widzieliśmy już więcéj tych gości. Ale za to potém dużo fur z drzewem, zbożem i zwierzem pojechało do miasta, a w spisie wydatku w owym roku suma większą jest o kilka set dukatów od swych poprzedniczek. Jednak dzięki tym manewrom nie spadł nam ani włos z głowy.

Bawiły mię mocno te wybryki staroszlacheckiéj swawoli; ale wesołość i uśmiech znikły natychmiast, skoro zwróciłem wzrok na poczerniałe mury więzienia, w których za czasów pańszczyzny niejednokrotnie może w sposób gwałtowny uchybiono prawu ludzkiemu. W téj chwili pragnąłem się zobaczyć z panem Dominikiem i pewnie nie oszczędziłbym mu ostrych przymówek. Nie długo czekałem. Poczułem na ramieniu mojém cudzą rękę i usłyszałem donośny głos pana Dominika:

— A cóż, oddaj się panu Bogu! Jakżeż podobało się gospodarstwo moje?

— Dzisiaj jest wzorowe — rzekłem, ale nie takiém było dawniéj.

Mimowoli popatrzyłem przy tych słowach na mury więzienne. Pan Dominik zrozumiał natychmiast, do czego słowem i wzrokiem zmierzam.

— Rozumiem — oddaj się Panu Bogu, rzekł, rozumiem bardzo dobrze. Otóż wyjeżdżasz nam z nową zasadą postępową. Myślisz, że tam za temi kratami działy się najsamowolniejsze bezprawia. Nie bój się mój panie, oddaj się Panu Bogu! Tam siedzieli tylko złodzieje i rabusie i płacono mi za ich przewinienia tylko bardzo rzetelną miarą sprawiedliwości. Wszelkie nadwyżki w tym względzie biorę chętnie na moje sumienie, a widać nie ma ich wcale, bo brzemię to bardzo lekkie zaniosę spokojnie przed sąd Boga.

— Ależ to była samowola a nie sprawiedliwość — rzekłem nie zbity wcale zapewnieniem pana Dominika. Ztąd powstał ten tak gwałtowny przedział między nami i ludem. Ztąd ta nieufność, prawie zawiść otwarta, któréj i wiekowe mozoły przyganić nie mogą.

Podczas mojéj perory burzyła się widocznie krew w żyłach pana Dominika. Mocno najerzony co chwila chciał prawie jakimś gwałtownym ruchem przerwać moją śmiałą mowę. Nie bałem się tego wcale, skończyłem spokojnie i popatrzyłem w górę. Przy oknie zobaczyłem piękną blondynkę, Wandę czy Jadwigę, któréj twarz niespokojna, prawie gniewna zdradzała, że z ruchów ojca domyśla się o jakiéjś wszczętéj waśni. Zdawało mi się, że nakiwała mi groźnie swojemi paluszkami.

Pan Dominik ochłonąwszy nieco z gniewu gwałtownego, który mu nawet spokojnie odpowiedzieć nie pozwolił rzekł po chwili milczenia:

— Oddaj się Panu Bogu! To waść będziesz mi tu nauczki dawał — mnie? Ej młokosy niedowarzone z tumanem zasad postępowych w głowie próżnéj!

Na ten argument chciałem nawet bez wszelkich przyzwoitych względów na siwe włosy zapaleńca odpowiedzieć nie mniéj kategorycznie ale... w jednéj chwili stałem się uległym barankiem. Spojrzałem bowiem jakoś od niechcenia na pierwsze piętro, z okna groził mi dobry paluszek. Do groźby téj przyłączył się miły, błagający uśmiech, co jéj wiele skuteczności dodało.

Pan Dominik rad był téj mojéj powolności. Przypisując ją skuteczności swych ostrych słów, zwolniał nieco w gniewie, ruchach i słowach:

— Bo to wszyscy tak mówią oddaj się Panu Bogu, rzekł uspokojony nieco, którzy dla niektórych złych wyjątków potępiają w czambuł cały ogół. Ale zapytajno waćpan chłopa, kiedy mu u mnie lepiéj było, za pańszczyzny czy teraz. Teraz zginąłby z głodu na przednowku, gdybym mu z litości wsparcia nie dał, dawniej szedł śmiało nawet w czasie największego niedostatku i nieurodzaju do swego pana, z którym łączyły go żelazne ale ścisłe i serdeczne jak u mnie węzły. A pan pewnie, chyba, że nie był szlachcicem i zapoznawał swoje obowiązki, jeżeli nie chciał uczynić zadość jego prośbie. Tak, tak — oddaj się panu Bogu! Niewiem, jak się tam gdzieindziéj działo, ale u mnie było dobrze każdemu, bo gdy w roku 1848 wszystkich rozbestwione tłumy mordowały, mnie poddani moi ocalili od napaści obcych przybyszów z sąsiedniego cyrkułu. Kilkunastu z nich legło, broniąc domu i pana swego od napaści podochoconych swawolą band okolicznych. Tak, tak — oddaj się Panu Bogu! A jeżeli waćpan nie wierzysz tym słowom moim, spytaj się starych gospodarzy.

Pan Łukasz, który stał przy nas od samego początku całéj téj gwałtownej szermierki słów i w miarę gniewu pana Dominika marsem na czole, klaskaniem rąk, lub innym jakim gestem starał się pofolgować swéj pożądliwości, nie mógl jéj już powstrzymać od wybuchu!

— Tak, zapytaj się waćpan — rzekł zachmurzony, zapytaj się waćpan, o zapytaj, zapytaj, proszę mi nieprzerywać.

Stałem ciągle spokojnie, nie wiem czy pod wpływem poniekąd wymownych argumentów pana Dominika i liczebnéj przewagi mych adwersarzy, czy téż pod tajemniczym urokiem proszącego uśmiechu z pierwszego piętra. Piękna córka pana Dominika, którą ja Wandą a on Jadwigą nazywał, odgadła dziecinnym swym instynktem, że ojciec jest mocno rozdrażniony, chciała więc wszelkim sposobem zmusić mię do powolności, która tak prędko potrafi istotnie uśmierzyć gniew mego przeciwnika.

Pan Dominik pewny, że najzupełniejsze zwycięztwo to zawdzięcza wymowie swojéj, chciał przeciwnikowi swemu do reszty przytrzeć uszu potokiem słów, rad i uwag.

Tego trzeba mu suszyć głowę, powtarcał tryumfująco za swoim panem poczciwy Łukasz.

Źle, bardzo źle zabieracie się dzisiaj do dzieła — mówił z mentorską powagą pan Dominik. Krzyczycie i hałasujecie jak sto djabłów, oddaj się Panu Bogu! Krzyczycie wolność i równouprawnienie, wpychacie się z waszą głosną przychylnością i pomocą dla ludu. A on nie mogąc sobie tego nagłego i tak jaskrawego zwrotu niczém innem chyba jąkąs nową zasadzką na swą zgubę wytłumaczyć, odpycha nas od siebie, nieufny zupełnie w szczérość i serdeczność takich głośnych a nieproszonych protektorów. Za mało macie rozumu zdrowego, wy młodzi, niedowarzeni reformatorowie. Nie jak to ojcowie nasi brali się do dzieła tego samego. Boć to nie jest jedynie wasz własny pomysł, oddaj się Panu Bogu mospanie! Ojcowie nasi więcéj o tém my-

śleli i zgrabniéj się brali do dzieła. Jeżeli bowiem poddany ich uzyskał sobie męztwem lub inną jaką zasługą pierwszeństwo przed innymi, pan jego uściskał go jak brata, przyjął go do swojéj rodziny, bo dał mu własny swój klejnot. Tak, dał mu własny swój klejnot! A rozumieszże mości panie oddaj się Bogu, co to znaczy dać chłopu klejnot szlachecki?

— Rozumiesz mościpanie? wtórował tryumfujący pan Łukasz. Rozumiesz? Ej, gdzietam — proszę mi nie przerywać.

Tak przystępywaliśmy do tego dzieła, skutecznie ale powoli. Ludzie krótkowidzący nie dostrzegli tego, nazwali nas barbarzyńcami, synowie potępili nas jako zacofanych, i odtąd wszelką klęskę kładą na rachunek swych ojców. Ot krzykacze i samochwały mości panie oddaj się Panu Bogu!

Milczałem ciągle. Gdy pan Dominik zmęczywszy się tém ciągłém argumegtowaniem umilkł, popatrzyłem w okno na pierwszém piętrze, ale nie widziałem już ani drobnego paluszka, ani ust różowych, ani czarodziejskiego uśmiechu Filutka! Wiedziała dobrze, że zgubiwszy wątek méj opozycji, zahukany i zakrzyczany nie sprzeciwię się teraz zupełnie i nie wywołam nowego wybuchu gniewu u pana Dominika. Dla téj to przyczyny zaniechała pewnie swych czarodziejskich wpływów, które mię zupełnie podbiły i przez cały czas rozmowy na uwiązy trzymały.

Pan Dominik biorąc moje milczenie za niewolniczą uległość rzekł:

— Ale co tam! Przekonałem się i widzę, że znalazłem w panu szlachecką cnotę, uległość dla starszych i powolność dla rozsądnéj i mądréj rady. Podobasz mi się pan! Więc uściskajmy się ot tak, oddaj się Panu Bogu!

Przy tych słowach ścisnął mię tak serdecznie, że omal ducha nie wyzionąłem.

Pan Łukasz oszołomiony tryumfem swego pana, zacierał ręce z radości.

— Pan ztąd nie wyjedziesz, aż za kilka dni. Musisz być u nas na polowaniu — rzekł rozrzewniony pan Dominik.

Wycie i skomlenie kilkuset psów zamkniętych w psiarni chciwych łowów i heców zdawały się popierać prośbę pana Dominika.

Poszedłem za panem Dominikiem, ale nie do pokoju dokąd mnie zapraszał, tylko do mojéj izdebki więziennéj.

Wziąłem tu pod ścisłą rozwagę treść całéj téj pogadanki. Rezultatem ich była coraz większa sympatja i wzrastający szacunek dla pana Dominika. Byłto człowiek, który najzacięciéj może trzymał się spuścizny staroszlacheckiéj tradycji. W tym uporze niepokonanym przejął może wiele przestarzałych wad i dziwacznych uprzedzeń, ale nie otrząsł z siebie żadnéj z tych wysokich zalet i cnót, któremi przodkowie nasi na szacunek sobie zasłużyli. Wierny tym zasadom swoim stał na uboczu, odstrychnięty zupełnie od młodszego pokolenia, którego stanowczy rozbrat z przeszłością i nieprzyjaźne pociski na ojców goryczą go napawały.

Temi zaletami swojemi ujął mię tak mocno pan Dominik, że pogodziłem się już prawie z Zygmuntem Krasińskim, nazwałem sam siebie nierozumnym szaleńcem, niesfornym szaleńcem. W téj chwili byłbym nawet gotów wylać sobie na głowę konewkę zimnéj wody in gratiam powrotu trzeźwego rozsądku i zimnéj rozwagi.

* * *

Przez noc całą rozpatrywałem się w mojéj sytuacji z strategiczną oględnością. Że pan Dominik powziął jakąś szczególną dla mnie sympatję, o tém mogłem już być przekonany z upewnień pana Łukasza. Chwila moja w ostatniéj dyskusji wywołana jedynie cichemi rozkazami pięknéj blondynki chwyciła go jak widać mocno za serce. Zuchwały ton mojéj mowy na samym początku tych mimowolnych odwiedzin wobec groźnéj miny właściciela Królewskiéj-Woli, pomnażały jeszcze bardziéj tę sympatję. Jak z jednéj strony bowiem chwytała go mocno za serce ta staropolska cnota uległości i posłuszeństwa ku starszym, tak z drugiéj strony znowu nienawidził i oburzał się na każde tchórzostwo i służalne schlebianie wszelkiemu zdaniu, w czém nie tyle było uległości, ile braku własnego przekonania, Temi uwagami tłumaczyłem sobie upewnienie pana Łukasza.

Innego porąbałby był mój pan już w sztuki za te częste ostre przymówki. Pan potrafiłeś go zupełnie podbić i ogłaskać. Okoliczność ta sprawiła, że ochoczo przyjąłem propozycję dłuższéj zwłoki w moim odjeździe. Ale inna znowu okoliczność chłodziła tę sympatję dla domu pana Dominika i nagliła do śpiesznego odjazdu. Pan Dominik mistyfikował mnie oczywiście w sposób bardzo dokuczliwy, może dla pustego żartu, ale może też i w jakimś przebiegłym i chytrym zamiarze. Wszakże dotąd nie mogłem jeszcze odgadnąć téj zagadki, która z córek pana Dominika nazywa się Jadwigą i jest narzeczoną, a która z nich jest młodszą Wandą. Ta tajemniczość była pomysłem pana Dominika, za którego skinieniem jakby na rozkaz rzymskiego władzcy familijnego, wszyscy domownicy w ten sposób ze mną postępowali. Ta okoliczność tedy radziła mi stanowczo zbierać się do spiesznego odjazdu. Na myśl tę stanęła mi przed oczami uśmiechnięta twarzyczka pięknéj blondynki, ale ograniczałem ile możności jéj niepojęty wpływ na moje postanowienia. Przechodziłem w głowie najrozmaitsze kombinacje i domysły.

Przypuśćmy, że blondynka ta jest młodszą córką pana Dominika, nazywa się Wandą, i nie ma dotąd

żadnego narzeczonego. Na tę myśl zabłysł nagle promyk szczęścia i nadziei, ale przydusiłem go prędko. Z tém przypuszczeniem bowiem przybywał jeszcze jeden powód do odjazdu. Chciałem zapomnieć o wszystkiém, póki jeszcze można. Nie dowierzałem bowiem sobie, czy z mojém porywczém usposobieniem zechcę się ugiąć pod to niewolnicze jarzmo dziwacznych warunków, któremi u pana Dominika trzeba było sobie wywalczyć rękę jego córki. W takim razie odwrót byłby już dla mnie niemożliwym, a otwarta walka z głową domu, której rozkazom, jak sądziłem, córka jego nawet z zaparciem się swego szczęścia i swéj skłonności podlega, mogła jedynie najniekorzystniéj dla mnie wypaść. Cofnąć się tedy, póki jeszcze czas — to był ostateczny wynik tego rozumowania. Serce protestowało już dość głośno i jawnie przeciw temu postanowieniu, ale rozsądek i rozwaga zimna podpierały je silnie.

Wyrok ten już raz zapadły aprobował zupełnie rezultat drugiego prawdopodobniejszego jeszcze przypuszczenia.

Piękna blondynka nazywa się może istotnie Jadwigą, która jak wiadomo była narzeczoną pana Stanisława. W takim razie moje zabiegi byłyby tylko daremną walką o zdobytą już zupełnie fortecę. I tu należało korzystać z sposobności i czasu do odwrotu. Późniéj może byłoby już zapóźno, odciąłbym sobie zapewne drogę, a wtedy byłby tylko jeden możliwy koniec téj walki — gruzy cudzego tryumfu i szczęście zasypałyby niechybnie zapamiętałego marzyciela!

— Wyjechać, cofnąć się — doradzał poważny głos zimnego rozsądku i trzeźwéj rozwagi.

— Alež nawet i wtedy nadzieja niestracona i odwrót niepotrzebny — szeptał zwodniczy glos niesfornego serca. Po tylu luźnych ale wymownych egzekwiach sympatji, spodziewać się można, że panienka przeniesie przybysza nad dawnego narzeczonego.

Ale rozsądek zagłuszył i te syrenie podszepty serca.

Jeżliby tak istotnie było — myślałem, natenczas panna Jadwiga czy Wanda, jest bardzo przebiegłą kokietką. A wtedy gotów byłem odciąć obie poły, by ustrzédz się od téj zasadzki. Z tak niezłomném postanowieniem prędkiego wyjazdu zasnąłem dopiero o północy i tylko na czas bardzo krótki.

Zbudziłem się wcześnie z tém samém postanowieniem. Wyszedłszy na dziedziniec ujrzałem Kostka po raz pierwszy od czasu mego kilkodniowego pobytu w Królewskiéj-Woli.

— Kostek! — zawołałem.

Kostek zobaczywszy mnie przybiegł prędko mocno uradowany.

— A chwała Bogu — krzyczał mój automedon — że widzę pana przy zdrowiu. Bałem się tylko o pana, bo co do mnie, to Bóg świadkiem, że ksiądz proboszcz z Grabowic ani się umył ze swoim prażnikiem. Co się też tu dzieje!

— Zaprzęgaj konie, bo dzisiaj rano pojedziemy do domu — rzekłem puszczając mimo ucha brednie chłopaka.

Kostek widać toż samo albo nie słuchał, albo nie rozumiał słów moich, bo ciągnął daléj nieprzerwanie.

— Tam dają tylko wódkę i séra z chlebem. I to ma być traktament poczciwy, to się ma nazywać prażnikiem! Tu nie ma prażników. a czeladź jé codziennie mięso. O tu mi jest doskonale!

— Idź zaprzęgać prędko — rzekłem tonem imponującym.

— Zaprzęgać? zapytał Kostek — i z tego wielkiego zdziwienia wybałuszył mocno oczy. — Zaprzęgać? To oni mnie tylko dogadzają a panu każą może głodować? I nie dają codziennie mięsa?

— Zaprzęgaj kpie jeden — krzyknąłem rozdrażniony mocno.

Kostek odszedł jak zmyty i bardzo zafrasowany.

— Dla czego pan się tak spieszysz? rzekł do mnie Dominik, który za mną niepostrzeżenie całéj téj rozmowie się przysłuchiwał.

— Dla czego pan każesz zaprzęgać, kiedy dzisiaj jeszcze nie pojedziesz.

— Przykro mi bardzo, rzekłem obojętnie, że muszę się dopuścić tego wielkiego nieposłuszeństwa i odjechać natychmiast.

— Ale pan nie pojedziesz — oddaj się Panu Bogu — krzyczał zachmurzony pan Dominik.

— Pojadę dzisiaj rano najpewniéj w świecie — odparłem spokojnie stanowczym tonem.

— Nie mości panie, oddaj się Bogu — krzyczał ciągle zaperzony pan Dominik. Jutro polowanie — a przedtém żadnego gościa z domu nie wypuszczam. Polowanie mości panie to rodzaj pewny dawnéj naszéj potrzeby wojennéj. Dziki i wilki jak pohańcy napadają role naszych wieśniaków i niszczą je. Teraz jest ich więcéj jak zwykle, gotowi wziąść się nawet do ludzi. Godziż się więc w takim razie odmówić swojéj pomocy zwłaszcza, gdy jesteś pan tak dzielnym myśliwym, jak to z jego własnych ust słyszałem.

— Miejsce moje może kto inny zastąpić — rzekłem ciągle spokojnie i obojętnie — bo nie odstąpię w żaden sposób od mego dzisiejszego zamiaru.

— Panie Łukaszu! — rzekł pan Dominik do nadchodzącego swego ministra.

Pan Dominik odszedł odemnie i dawał po cichu panu Łukaszowi jakieś zlecenia. Nie patrzyłem nawet na nich oczekując ciągle rychłego przybycia mego Kostka. Ale zamiast niego doczekałem się innego bardzo niemiłego widoku. Pan Łukasz a za nim trzech pachołków przynieśli i pokazali mi deski i wszystkie

części składowe tych niefortunnych żółtych sani, które mnie tyle kłopotu nabawiły.

— Co to ma znaczyć? zapytałem pana Dominika i jego fagasów z niechęcią, gniewem i oburzeniem.

— To ma znaczyć — rzekł spokojnie pan Dominik — że most zerwany. Chciałem panu dać namacalny dowód, że dzisiaj oddaj się Panu Bogu mości panie żadną miarą nie wyjedziesz, chyba jutro po polowaniu.

Zatrząsłem się od gniewu i oburzenia.

— Ależ to gwałt! — krzyczałem głosem, z którego dobywała się cała siła méj złości. To naruszenie świętokradzkie praw gościnności.

— Dotąd nie naruszyłem nigdy przepisów gościnności — rzekł pan Dominik bardzo poważnie, ale mocno zachmurzony. Dla czegóż więc oddaj się Bogu, nie wywdzięczysz się pan za to i nie chcesz zostać przecie dzień jeden u mnie, gdy cię do tego nic ważnego nie nagli, chyba jakieś kapryśne widzimisię? Jeszcze raz tego proszę, zostań pan w moim domu.

Gotowałem się do jakiéjś stanowczéj i rezolutnéj odpowiedzi, gdy wzrok mój zabłąkał się mimo méj woli i zaglądnął do okna. Ujrzałem tam znowu twarz pięknéj blondynki, jéj uśmiech i tajemnicze skinienie. Z wstydem wyznaję, że siła méj woli i postanowienia ugięła się zupełnie pod wpływem jéj wabiących ruchów i czarownego uśmiechu, których znaczenia od razu się domyśliłem. Stałem skonstruowany jak filozof, który na żywym przykładzie przekonał się o nicości swego zbadanego mozolnie i zręcznie systemu. Wola ludzka, jéj siła, niezawisłość, wydały mi się teraz pustemi mrzonkami.

— Zostanę więc — rzekłem łagodnie ale dość głośno, bo bałem się, by tego kroku nie wytłumaczono bojaźnią przed ostremi środkami pana Dominika.

Na te słowa uścisnął mię pan Dominik aż nadto serdecznie swemi żelaznemi rękami.

— Otóż oddaj się Panu Bogu, krzyczał uradowany — co to znaczy być rozsądnym i poczciwym młodzieńcem, który mospanie szanuje i słucha głosu starszego. Nie omyliłem się. Od pewnego spotkania poznałem w panu takiego młodzieńca, jakiego dotąd napróżno w świecie szukałem.

Przy tych słowach jakby instynktowo zajrzał do okna. W oknie mignęła tylko twarzyczka piękna spłoszonéj panienki.

Pan Dominik dostrzegł to, zachmurzył się trochę z początku a potém dodał z uśmiechem:

— Ale bodaj czy nie więcéj skutkowało inne jakieś zjawisko. To istne żywe srebro ta moja Wan....

Tu poprawił się bardzo prędko i rzekł:

— Jadwisia. Ktoby się tam po jéj zachowaniu spodziewał, że za trzy miesiące ma, czy miała zostać mężatką i gospodynią.

Zręczny manewr pana Dominika nie osiągnął co do mnie swego celu, chociaż słuchałem tego spokojnie, jak gdybym wierzył zapewne, że pomyłka ta jest prawdziwą.

Była to już zresztą druga podobna wskazówka, która mię na trop prawdy prowadziła. Poprzednio wymówił się już podobnie Łukasz, dzisiaj pan Dominik a obaj bardzo nieznacznie starali się pokryć tę pomyłkę. Musiał więc w tém być jakiś plan tajemniczy pana Dominika, którego zlecenia i informacji wszyscy niewolniczo choć nie dość zgrabnie się trzymali.

Najprawdopodobniéj więc piękna blondynka nazywa się Wandą i nie jest narzeczoną pana Stanisława. Jakiś zamiar ma więc pan Dominik w téj zamianie osób i nazwisk? Mając świeży dowód wielkiéj sympatji jego tłumaczyłem sobie, że plan ten nie może być bynajmniéj na moją niekorzyść obmyślany.

Podałem tedy spokojnie wodze gorączkowym marzeniom. Z jednéj słabéj wskazówki wysnułem w téj chwili pasmo wątłych choć tak błogich rojeń i mrzonek. Na kruchéj podstawie niepewnego domysłu zbudowałem gmach olbrzymi przyszłego szczęścia!

Z uśmiechem na twarzy, czołem wypogodzoném przechadzałem się po mojéj izdebce, które mi się teraz tak nagle ciasną wydała.

* * *

Nie mało wstydu i upokorzenia musiałem przełknąć przez noc ostatnią. Nagłe cofnienie mego postanowienia na lada skinienie wyrafinowanéj może kokietki chociaż głos serca przeciw temu wyrazowi stanowczo i delikatnie protestował, wydało mi się największym dowodem braku energii, niezłomnéj woli i męzkiego charakteru. Chociażby nawet pan Dominik mego postępowania tak nie tłumaczył, lecz owszem wskutek tego coraz to lepszą opinję miał o mnie, niewłaściwość jednak mego ostatniego postanowienia przejmowała mnie wobec własnego przekonania sromem i niechęcią.

Nazajutrz rano znikł jednak ten bardzo zgryźliwy humor. Ogromne przygotowania do zapowiedzianego polowania obudziły we mnie żyłkę myśliwską. Byłem namiętnym myśliwym, dobrym strzelcem; widok więc tylu psów i myśliwych, bogatéj w różnorodną zwierzynę kniei wynagrodził mi poniekąd zniczą zgryzotę nadzieją wesołéj zabawy.

Patrzyłem z zdziwieniem na ten wspaniały pochód orszaku myśliwskiego, któremu pan Dominik z Łukaszem przewodniczyli. Ilość pachołków i mnogość przyborów myśliwskich była tak wielką, że z tego można by doskonale utworzyć mały oddziałek wojskowy.

Niezmierną niespodzianką był dla mnie współudział w polowaniu obu córek pana Dominik. Obie amazonki ubrane jednakowo zamykały cały ten zbrojny pochód.

Pojąć łatwo, zkąd taka duma i fochy... może ma talent....

ZENON.

A bo ma... jak cnotę kocham ma... i ogromny....

BARON.

A więc wierzy w swą przyszłość.... Sądzi, że zrobi karjerę w teatrze... i dla tego taka harda.

ZENON.

Być może... ale cóż ja....

BARON.

Ty jeden pomódz mi możesz....

ZENON.

Ja?

BARON.

Napisz, że nie ma talentu... że nigdy dobrą aktorką nie będzie... a karjera jéj złamana... i potłuc się musi...

ZENON.

Aha!.. (n. s.) A to gratka! (głośno) Pan Baron żartujesz.

BARON.

Hę?

ZENON.

Pan Baron żartujesz... chcesz mnie doświadczyć....

BARON.

Słowo honoru daję nie mam tego zamiaru... przecież się znamy....

ZENON.

(z uszanowaniem) Panie Baronie! krytyka to kapłaństwo... krytyk powinien zapominać, że jest człowiekiem.... Przyjaźń... sympatję... względy wszelkie powinien usunąć na bok.... Z teorją estetyczną w głowie, z ręką na sumieniu... stoi on na straży smaku i moralności... a wyroki jego muszą być sprawiedliwe... jak... (zacinając się) jak...

BARON.

Jak sądy tureckie... tu... tu... ta... tak się to mówi kochany panie Zenonie....

ZENON.

Ale jak cnotę kocham....

BARON.

Cnota swoją drogą, a krytyka swoją... cóż u djabła panie Zenonie, ja nic złego nie wymagam od ciebie....

ZENON.

Jakto nic złego?... Nieprawdy... niesprawiedliwości!...

BARON.

Bah!.. niby to raz pierwszy i ostatni... a potém ja żądam od ciebie rzeczy równie korzystnéj dla Celiny, jak dla innych.

ZENON.

Jak cnotę kocham nie rozumiem.... Mam łamać jéj karjerę i tém jéj przysługę wyrządzać?...

BARON.

Bardzo naturalnie. Łamiesz jéj karjerę teatralną, sceniczną... piękna karjera.... W rezultacie chcąc nie chcąc paść musi... i padnie... a Bóg wié, w czyje ramiona. Gdy tymczasem zmuszając ją opuścić scenę, zmuszając ją do przyjęcia moich ofiar... oddajesz ją w opiekę człowieka, którego znasz... dobrze urodzonego, bogatego, nieglupiego... no wreszcie moralnego.

ZENON.

Jest w tém wiele prawdy, panie Baronie, ale z tém wszystkiém... nie uchodzi... nie uchodzi... zawsze to nieprawda....

No przypuśćmy, że w tém wszystkiém jest mała nieforemność, możnaby to jakoś załatwić....

ZENON (n. s.)

Aha! jesteśmy! (głośno) Jakto pan Baron rozumie....

BARON.

(śmieje się) Oh! oh! bardzo pojedynczo... wszak grzech każdy można dobrym uczynkiem odkupić.... Nieprawda panie Zenonie?...

ZENON.

Zapewne... zapewne...

BARON.

Otóż, gdybym ja... za skłonienie kapłana krytyka, by po raz pierwszy wbrew głosowi sumienia wyrok wydał, gdybym mówię... z jakie pięćset guldenów... dla ubogich....

ZENON (n. s.)

Dla ubogich!.. a! osioł!.. (głośno) Ależ....

BARON.

Dla ubogich... na jego ręce i do jego rozporządzenia złożył... co?...

ZENON.

Hm... hm... pięćset guldenów dla ubogich....

BARON.

Nieprawda? to ładnie....

ZENON.

Ileż to łez obetrzeć... ile cierpień w radość zamieniéby można....

BARON.

Naturalnie....

ZENON.

(wyciągając rękę) Panie Baronie!.. jesteś szlachetnym człowiekiem... jeżeli grzészysz... to grzéch odkupujesz hojnie... już to wielka prawda... poznać pana po....

BARON.

(ironicznie) Po pokucie....

ZENON.

Po pokucie... wybornie... jak cnotę kocham po pokucie... udało się panu Baronowi....

BARON.

Mnie się zawsze udaje... A więc?..

ZENON.

A czyż można się wahać?.. z jednéj strony chrześćjański uczynek... z drugiéj jakaś tam aktoreczka!.. która i tak na złéj jest drodze...

BARON.

(który dobył pugilaresu) Oto 500 reńskich (z przyciskiem) dla ubogich... byłem tylko nie wiedział, komu je dasz panie Zenonie.

ZENON.

Możesz pan Baron być spokojnym zupełnie... (słychać dzwonek)

BARON.

A to kto?...

ZENON.

Jak cnotę kocham nie wiem.... (wchodzi posługacz z drukarni.

A to ty, Antoni?

ANTONI.

A ja proszę pana. Pan redaktor prosi o krytykę, bo już czas składać.

ZENON.

Zaraz, zaraz. (do Barona) Chwileczkę tylko....

BARON.

Czekam.... (Zenon zasiada i pisze — Baron na stronie zapalając cygaro) Za wiele zapłaciłem... za dwieście byłby to samo zrobił... ale tak się srożył... no mniejsza.... Celina warta więcéj.... (patrząc na Zenona) I każą nam szanować literatów, każą, wiemy i w to co piszą!.. ah! la bonne farce.

ZENON.

(wstaje i podając rękopism) Oto jest, panie Baronie... myślę, że to wystarczy!...

BARON.

(czytając półgłosem) „Młodéj artystce tę tylko radę „dać możemy, żeby na innych drogach szczęścia szu„kała, bo aktorką nawet mierną, nawet znośną nie bę„dzie nigdy. Komu Bóg talentu odmówił, powinien „w pracy uczciwéj szukać chleba, a nie profanować „sztuki. Tylko uboczne względy mogły wywołać nie„rzęsiste zresztą oklaski“.

ZENON.

Uważa pan Baron... względy uboczne podkréślone, wydrukują się *cursivą*.

BARON.

Nieźle... nieźle....

ZENON.

(oddając rękopism Antoniemu) Masz — ruszaj — a niech korrektę lepiéj zrobią jak ostatnim razem.

ANTONI.

Dobrze, proszę pana.... (wychodzi)

ZENON.

No, nieprawda, panie Baronie... zabiła ją krytyka.

BARON.

Tak.. ale... czy uwierzy publika temu?

ZENON.

Ha... ha... ha... panie Baronie!.. nie znasz chyba publiczności naszéj.... Kto u nas sili się na to, żeby myśleć nad wydaniem sądu własnego? Przecież wygodniéj powtórzyć go z gazety.... A potém każdy woli ganić... bo nagana dowodzi niby znajomości rzeczy... dowodzi się co się widziało... a pochwała... fi donc... to parafjaństwo.

BARON.

Może masz rację... ale jednak klaskali jéj bardzo.

ZENON.

Ale klaskać nie będą... od czego uboczne względy... każdy, kto nie chce być o te uboczne względy posądzonym... będzie milczał jak mruk....

BARON.

To prawda... to prawda....

ZENON.

A więc wszyscy mężowie mający zazdrosne żony, wszyscy kochankowie zarzucający wędki na bogate panny ani się odważą....

BARON.

Ale kobiety....

ZENON.

Oho! Celina za ładna.... Pozostanie parter... no ale na parter... któżby zważał....

BARON.

Wierz, kochany panie Zenonie, żeś ty sprytny....

ZENON.

Zbytek łaski, jak cnotę kocham zbytek łaski.. panie Baronie, tylko, że ja mam serce jak wosk.... Okazałeś się Baron szlachetnym dla biednych... więc i ja mój artykuł zastósowałem do téj szlachetności... kto smaruje ten jedzie... jak cnotę kocham....

BARON.

(z ironią) A jak tylko tak się skończy, to ci wierzę... Dziękuję ci więc za usługę szanowny panie i żegnam...

ZENON.

Sługa uniżony... sługa.... (Baron wychodzi)

SCENA III.

ZENON. (sam)

Ah!.. pan Baron w ironiję się bawi?... Dobrze!.. przyjdzie koza do woza.... Zobaczymy.... (poważnie) To jednak pojęcie przechodzi, jak tu magnaterja nasza zepsuta do gruntu.... wyrzucić tak 500 guldenów za kilka słów... dla jakiéjś tam aktorki.... (póki nie z uśmiechem) A! ba!.. tak się gada!.. a to w gruncie rzeczy najlepsze użycie pieniędzy... oh! gdybym ja miał dwadzieścia tysięcy reniów dochodu... nie byłbym innym... jak cnotę kocham. (słychać pukanie) A tam kto?.. Czyby drugi Baron?.. hi... hi... hi... (znów pukanie) Proszę wejść!...

SCENA IV.

(wchodzi Celina kłania i zatrzymuje się)

ZENON. (n. s.)

A! dama jakaś... i zdaje się młoda. (głośno) Kogóż mam honor witać?

CELINA.

Czy zastałam pana Zenona?...

ZENON.

(kłaniając się) Do usług pani, do usług... (n. s.) Głos jakiś mi znany.

CELINA.

(odsłaniając woalkę) Celina, artystka dramatyczna....

ZENON.

Panna Celina?.. ah! prawda! jak cnotę kocham, panna Celina!

CELINA.

Daruj pan krok tak szczególny....

ZENON.

O! cóż w tém tak szczególnego.... Proszę siadać... bardzo proszę.... (n. s.) A! jaka piękna... niech ją nie znam!...

CELINA.

(siadając) Owszem... czuję aż nadto dobrze, że to co robię, może i powinno pana dziwić....

ZENON.

Ale nie dziwi... jak cnotę kocham nie dziwi... tylko pragnąłbym wiedzieć, czemu szczęście to zawdzięczam.

CELINA.

Ah! to tak trudno powiedzieć... bo... bo...

ZENON.

Proszę mówić smiało... mówisz pani z krytykiem, a krytyk dla artystek to drugi ojciec... brat starszy — chciałem powiedzieć.

CELINA.

Tak?.. a jednak... to rzecz tak drażliwa....

ZENON. (n. s.)

Drażliwa!.. czyżby?.. eh! nie.... Ale jakie oczy! Ten Baron wyraźnie mnie oszukał. (widząc, że Celina milczy) No śmiało moje dziecko... śmiało!...

CELINA.

Zdajesz się pan być tak dobrym, a jednakże....

ZENON.

Dla artystów z talentem jestem zawsze dobry.

CELINA.

Z talentem? a powiedziano mi w téj właśnie chwili, żeś napisał tak nielitościwą o mnie recenzją.

ZENON (n. s.)

A do djabła! powiedziano jéj!...

CELINA.

Żeś mi wszelkiego, najmniejszego odmówił talentu...

ZENON.

(poważnie) Tak... niby... ale cóż robić!.. sprawiedliwość przedewszystkiém!... Wstępując do tego twardego zakonu, który się krytyką nazywa, przysiągłem służyć sprawiedliwości... i służę jéj, często własne rozdzierając serce.

CELINA.

(ze łzami w głosie) Więc sądzisz pan, że ja talentu nie mam?...

ZENON.

Ten... tego... jakoby...

CELINA.

(zapalając się) A jednak... jednak ja tak kocham sztukę.... Gdy wejdę na scenę, gdy poczuję tysiące oczu spoczywających na mnie... gdy posłyszę dźwięk własnego głosu, wtedy zdaje mi się, że jestem tą, którą mam przedstawiać, wszystkie uczucie, jakie autor wlał w wymarzoną postać, grają w méj piersi... kocham... nienawidzę, szaleję... zazdroszczę... cierpię jéj miłością, nienawiścią, szałem i cierpieniem.... Gdy płaczę, to łzy prawdziwe z oczu się mych leją!... Nie jestże to talent?

ZENON.

Tak.. ten... tego... to raczéj temperament. (n. s.) A niechże ją, jaka piękna!...

CELINA.

Temperament?.. więc ja nie jestem artystką?...

ZENON.

Hm... m... właściwie mówiąc to może. (n.. s) A Baron?... Uczciwość przedewszystkiém. (głośno) Nie, nie masz pani talentu, jak cnotę kocham.

CELINA.

(ze smutkiem) Mój Boże! co się z matką moją stanie? (do Zenona) Bo panie, ja mam matkę... dobrą... anielską matkę....

ZENON. (n. s.)

Aha! Matka aktorki... connue....

CELINA.

(ciągnąc daléj) Okropne przejścia... widok strasznéj śmierci ojca... wiesz pan... przed sześciu laty... złamały jéj zdrowie... sparaliżowanéj... otoczonéj trojgiem młodszych dzieci, ja jestem podporą i nadzieją jedyną.... Byliśmy kiedyś zamożni... ale jesteśmy z Litwy, a wiesz pan jak tam postępują z tymi, którzy spodlić się nie chcieli.... Zdawało mi się, że mam talent, mówiono mi to, w talencie moim, widziałam i spełnienie powołania swego, które mnie na deski pchało... i spokój nieszczęśliwéj matki i wychowanie rodzeństwa mego.... Marzyłam o tém!.. gdy oto pan, pan który kierujesz sądem publiczności, pan powiadasz, że ja talentu nie mam....

ZENON.

(zakłopotany) A!.. ten tego jak cnotę kocham.... (n. s.) A! nie wytrzymam doprawdy! jaka ona śliczna... jaka śliczna....

CELINA.

(widząc jego wahanie składa ręce ze łzami) O panie! dobry, zacny panie!.. ja nie żądam kłamstwa od ciebie... ale jeżeli przez prędkość... przez omyłkę... nie chcący... popełniłeś niesprawiedliwość... to napraw tę krzywdę ciężką... o! odwołaj!.. ja pracować będę... chcę... i ja czuję, że tu (wskazując na głowę i serce) i tu jest coś... jest talent....

ZENON.

(który słuchał, w zachwyceniu porywa jéj ręce i zapominając się) Ależ masz... ogromny talent masz... jak cnotę kocham!... (przypominając sobie puszcza jéj ręce n. s.) A 500 reniów!...

CELINA.

O dzięki ci panie!.. a więc....

ZENON.

Przepraszam panią, zmyliłem się... to jest.. ten tego myślałem o kim innym... jak cnotę kocham.... (chodzi po pokoju szybko)

CELINA.

(padając na fotel) Ah! ja nieszczęśliwa! (zakrywa twarz rękami)

ZENON.

(chodząc, do siebie) O małom się nie złapał!.. ba i złapałem się... trzebaby 500 reniów oddać... i za co?... Ba! żeby to się na co zdało!.. niechby baron na Berdyczów pisał!... (patrząc z pod oka) A bo też śliczna! niech ją....

CELINA.

(po chwili milczenia n. s.) Zgubionam!.. a jednak ten człowiek przyznał się w chwili szczérości, że napisał nieprawdę... w tém musi być jakaś intryga....

(Ciąg d. n.)

WESTCHNIENIE.

W pośród zamętów, mgły,
  Dusza sowieje —
Smutek wyczerpał łzy,
  Pusto... ciemnieje....

Powszednich mrowisk wir,
  Depcze na kwiaty —
Gdzie były iskry — kir,
  A z ludzi szmaty.

Wśród piasków ginie szlak,
  Padają trzody —
I szuka serce — ptak,
  Oczy — wody.

alf.

POGADANKI.

Paryż 24 marca 1869 r.

Społeczeństwo ludzkie — cały ten zbiór różnokształtnych wprawdzie ale jednorodnych indywidualności, który oznaczamy ogólną nazwą ludzkości — w zagadnieniu dotyczącém swojéj racji bytu — celu, do jakiego ma dążyć — i środków, jakiemi do niego dojśćby powinno — rozdziela się na dwa głównie olbrzymiéj różnicy pojęć obozy, a których turniejów miejscem jak zwykle tak i teraz jest zachód Europy.

W pierwszym — bez zaprzeczenia i bez porównania silniejszemi materjalnemi rozporządzającym środkami — pod sztandarem natychmiastowego dobrobytu zgrupowane rozlicznie, drobnemi tylko odcieniami różniące się chorągwie — za hasło życia przyjęły myśl, którą w następującym odkryć można wierszu:

Życie? — to chwila ot ta, w któréj piszę;
Ta, w któréj popiół otrząsam z cygara.
Zegar uderzył... już dźwięku nie słyszę,
Przeszłość go wiecznie pochłonęła stara.

Po co odkrywać co zgniło w przeszłości
I wonią trupa oddech swój zatruwać? —
Po co się kusić, by z drzewa przyszłości
Zielone — kwaśne — owoce obrywać?
Zostaw robactwu, niech toczy co zgniło!
Tych co ciekawi z snów o jutrze wróżą,
Spytaj od razu, czy im się nie śniło
Wieko od trumny? — i... rzuć ich — niech wróżą!

Człowiek — bez względu na to, czy zawiera w sobie jakąś istność moralną, wyższemi ogniwami łączącą go z całym światem nadziemskim — czy też tylko obdarzony wyżéj nieco rozwiniętym instynktem zwierzęcym — w pojęciach téj większości zesłany jest na ziemię, ażeby jéj królować i z jéj darów o ile można najwięcéj korzystać. — Mniejsza o to zkąd przyszedł i gdzie idzie — byleby mu tylko dobrze i wygodnie było na drodze. — Mniejsza o to, czy ci co przed nim byli, źle lub dobrze używali tego panowania nad darami ziemi. — Mniejsza o to czy ci co po nim przyjdą ślady jego przejścia łzami wdzięczności czy przekleństwami rozpaczy pozdrowią. — Byle on w swoim przechodzie z życia najwięcéj możebnych wyssał rozkoszy, byle jego droga nie cierniami ale puchem była wysłaną. — Egoizm — zobojętnienie na cierpienia współczesnych lub przyszłych pokoleń — nieprzywiązywanie żadnéj wagi do drogich doświadczeń przodków — żądza osobistego korzystania z przechodniéj chwili szczęścia, jakiém życie doczesne człowieka darzyć powinno, a to tylko instynktowe, bezwolne podawanie jałmużny a nie pomocy nieszczęśliwym, którym się ją rzuca z głupiego tylko politowania — zaprzeczenie celu pracy a uznanie jéj tylko jako środek dla mniéj uposażonych do dopięcia szczęścia, do którego samo urodzenie nie podało im środków — w końcu sklanianie czoła i ginanie karku przed najbezprawniejszemi uroszczeniami potęgi materjalnéj — oto są nieuniknione następstwa mahometańskiego fatalizmu, nowożytnego sceptycyzmu, ateizmu, materjalizmu, a nawet... posuniętego aż do

przesady chrześcijańskiego opuszczenia się na wolą Boga. Nieuniknionym ztąd wynikiem — jest unieruchomienie ludzkości przeto zaparcie niezaprzeczonéj jéj dążności do postępu, do nieustannego doskonalenia się.

W drugim obozie pojęcia są wprost przeciwne. Ludzkość wzięta w całym swoim ogromie, to najżywotniejsza część stworzenia, część najszlachetniejsza, bo w sobie samej, w własnéj istności oderwanéj od reszty wszechświata, nosi odblask Tego, co ją stworzył, nosi coraz doskonalące się Jego pojęcie, przybiera coraz doskonalsze Jego podobieństwo. — Człowiek — jako jeden już niepodzielny atom tego całego ogromu w samym sobie, w własnym rozumie, w własném sercu, czy sumieniu — jest żywém objawieniem Boga manifestującém się odwieczną wiarą w exystencją Boga, nigdy nie stłumioną żądzą bliższego poznania swojéj własnéj natury, ażeby przez nią o ile można najdokładniéj odgadnąć naturę Stwórcy — nigdy nieugaszoném pragnieniem doskonalenia się, ażeby o ile można zbliżyć się do podobieństwa tego Boga, którego typ idealny nigdy z serca swego upuścić nie potrafił, ale też nigdy jeszcze nie znalazł formy tak dokładnéj, by całą Jego doskonałość myślą lub słowem uobrazić. — Ztąd dla całéj ludzkości jak i dla każdego człowieka obowiązek nieopuszczania oka z przeszłości, ażeby ciągle czerpaną z niéj nauką zbroić się do nieustannéj pracy na drodze powszechnego doskonalenia się, choćby z zaparciem się swoich własnych natychmiastowych potrzeb — choćby tylko dla tego, żeby przyszłym pokoleniom trudu i starań oszczędzić. — Ztąd w końcu najpiękniejsze zasady wolności i równości powołujące wszystkich zarówno do wspólnéj pracy na wspólnéj drodze — ztąd najszlachetniejsze zasady braterstwa i nieodłącznego odeń poświęcenia — zasada bożéj i ludzkiéj miłości.

Ludzkość jest przedewszystkiém postępującą, a dąży do doskonałości — czyli do urzeczywistnienia zapowiedzianego Królestwa Bożego na ziemi — oto godło drugiego obozu mniejszości. — Że zaś samo pojęcie doskonałości obejmuje w sobie wszystkie najróżnorodniejsze strony téj ludzkości — by tedy umożebnić postęp do niéj we wszystkich kierunkach — należy zwrócić uwagę na wszystko, co ten postęp tamuje — szukać przyczyny najmniejszego złego — szukać środków zaradczych przeciw najdrobniejszym nawet wadom społecznym — i w téj pracy będącéj już nie środkiem do życia jednostek, ale celem ich życia nigdy nieustawać, nigdy nie odpoczywać, bo tak samo do jednostek jak do całéj ludzkości stósować się dają słowa Bolesławity.

„A kto kiedykolwiek pracy i kształceniu się własnemu położył granice choćby w starości, ten zeznał, że się życia wyrzeka...! bo życie całe jest trudem — nabywaniem — a kto nie postępuje cofa się“ *).

(Ciąg d. nast.)

TEATR. *„Radcy pana Radcy“* — komedja w 3ch aktach p. Michała Bałuckiego. *„Przyjaciel kobiet“*, komedja w 5ciu aktach, przez Aleksandra Dumas (syna).

Pojawienie się kilku nowych i oryginalnych utworów na scenie teatru krakowskiego ostatniemi czasy, wywołało niemały ruch umysłowy w naszém mieście. Dowodzi to, jak żywotną kwestją jest u nas scena — oraz, że wszelka nowość równie w Paryżu, jak i w Krakowie ma wabiące oczy. — Przez kilka dni trudno było docisnąć się do kasy teatru — na przebój prawie trzeba było zdobywać sobie miejsca. Rewolucję taką wywołała komedja M. Bałuckiego, którą niewiem, dla czego autor zaintytulował „Radcy pana Radcy“. Jakkolwiek nie znajdujemy w tém wielkiej racji, aby tytuł nie miał logicznego związku z treścią sztuki — jednakże rzecz ta najmniéj nie wpływa na wartość dzieła, dla tego wtrąciliśmy tylko uwagę tę nawiasem.

Dwa główne typy pana Dziszewskiego i panny Eufrozyny są żywcem wyrwane z naszego codziennego życia. Zdaje ci się, że pan Piotr Dziszewski to istny twój sąsiad, którego żona za nos wodzi — a panna Eufrozyna żywa fotografia zdjęta z przekwitłéj panny, która napróżno przez lat parę dziesiątków prosi Boga o męża. Przy tém sztuka jaskrawością dowcipu budzi w widzach nie małe zajęcie. Pełno jest śmiechu na scenie — są wprawdzie podzielone zdania co do głębszéj wartości Radców pana Radcy — jednakże choćbyśmy najsurowszy sąd o nich wydali — zawsze wypadnie on na korzyść sztuki. — Prawda, autor nie zaciekawił nas bardzo żadną dobrze obmyślaną intrygą, przedstawił nam typy znane, o które potrącamy codziennie, ale śmieszność sytuacji w jakich je postawił — sprawia nierównie większe zajęcie, aniżeli łamanie sobie głowy nad tém, co się stanie z tą lub ową osobą sztuki. — W podobnym układzie komedji potrzeba wiele dowcipu i humoru, aby nie popaść w pretensjonalność i przesadę.

Co do gry p. p. artystów, autor zdaje się według skali ich talentu i charakteru scenicznego — rozłożył wszystkie role, dla tego trudno u nas widzieć coś lepiéj oddanego nad Radców pana Radcy.

Pan Rapacki, któremu słuszność oddaje pierwszeństwo na scenie naszéj, pana Dziszewskiego oddał znakomicie. Jestto typ, który artysta stworzył i wystudjował w najdelikatniejszych odcieniach. Bacząc pilnie na grę pana Rapackiego nie mogłeś nic dostrzedz, coby

---

*) Rachunki z r. 1867. — IX.

zdradzało nienaturalność — lub przesadę. Wszystkie małe śmiesznostki mieszczanina, ograniczonego jak Bóg przykazał (według przysłowia) pan Bałucki umiał uchwycić z najkomiczniejszéj strony — a pan Rapacki oddał je publiczności w najwierniejszéj kopii. Pan Benda także znalazł dla swego talentu właściwe pole. — Zdzisławek wierny typ dzisiejszego lwa małych saloników przedmieścia — zakrawa bardzo na karykaturę śmieszną i bez serca. Pan Benda nigdy nie powinien zmieniać typu pochwyconego i oddanego bardzo lekko i zręcznie w pierwszych dwóch przedstawieniach.

Co do gry panny Hofman (Eufrozyna) nie rozbieramy jéj wcale, bo od początku do końca — dorównywała najwykwintniejszym wymaganiom sztuki.

Wypada nam teraz pomówić słów parę o Przyjacielu kobiet. Jestto komedja, która bezwątpienia lepiéj przypada dla sceny francuzkiéj i paryzkiéj publiczności, aniżeli naszéj. Jednakże wszelka znajomość ludzi — dowcip — i dramatyczne niektóre sytuacje, są dowodem niepospolitego talentu pisarza.

Pan Benda (de Ryons) mimo bardzo trudnéj roli utrzymał się przez całe pięć aktów na wysokości artysty — i wyszedł zwycięzko.

W końcu ze smutkiem notujemy fakt, który zdaniem naszém tutaj ma miejsce — że pani Modrzejewska zamyśla opuścić scenę krakowską — lecz z drugiéj strony z przyjemnością dzielimy się tą wiadomością z czytelnikami naszymi, że scenie naszéj przybywa p. Nowakowska, któréj wystąpienia tak znakomity zjednały sobie sobie rozgłos we Lwowie. *D.*

* * *

α. δ. **Kronika.** *Intermezzo. — W fremden loży. Nr I. — Chłopiec obdarty i pan z czarną brodą-sąsiadami. — Wielki dzwon nie budzi Krakowa. — Co stanowi zero w sztuce. — Kronikarz tonie w kropce.*

Pierwszy akt skończył się. — Publiczność wyczerpawszy cały zapas uwagi na grę artystów i sztukę — objawiwszy swoje zadowolenie biciem w ręce i tupaniem nóg — zabrała się do chustek i nosów. — Ten i ów wybiegł na papierosa — zaczęły się przeglądy lóż, galerji, parteru — a w końcu ludzie pewnéj powagi literackiéj, jak to zwykle bywa, improwizowali doryweczą krytykę do jutrzejszych feuilletonów. Słowem był gwar w teatrze niby na sejmiku powiatowym. Publiczność widocznie znajdowała się w paroksyźmie gorączki — vel entuzjazmu. — Wśród gwaru tego i hałasu, w loży pierwszego piętra numer 1szy siedziało nas między innemi dwóch. Ja — uniżony kronikarz „Kaliny" i jakiś mały obdarty chłopiec — zapatrzony cały w świat, który go otaczał z rozwartemi szeroko ustami. Cicho, spokojnie siedział chłopiec — niemal bojąc się oddychać głośno. Z drugiéj strony chłopaka obdartego siedział młody panicz z czarną ślicznie umuskaną brodą, wyglądający według miary kronikarskiéj na małego lewka, żywiącego się ofiarami serc, które na linii A. B. gubią się w każde niedziele i święta. Paniczowi nie podobało się towarzystwo małego obdartusa, dla tego uważał za stósowne wziąść go najprzód za uszy — a następnie, gdy chłopiec zamiast krzyczeć na całe gardło gwałtu, chwycił się obiema rękami krzesła; panicz, sprowadziwszy lożerkę, kazał jéj wyrzucić obdartusa z loży, nie pytając się, jakie prawo ma znajdować się na jednem miejscu z jego wielkością. — Rzecz ta cała zakończyła się dosyć cicho i bez skandalu — i jak domyślacie się piękne panie, chłopaka na drugim akcie komedji Bałuckiego nie było już w loży Nr. I. — Dwa te niedorostki jeden rozumu, drugi wieku zaledwie różnili się między sobą surdutami — z których pierwszy (surdut) był cały, drugi podarty. — Fakt ten bez dalszych komentarzy notujemy dla tego, aby świat i naród mój (proszę nie brać tego wyrazu za farsę) wiedział — że chcąc panować nad gminem krakowskim, dosyć jest chodzić co dzień z głową swoją do fryzyjera, a z resztą do krawca. — Oprócz tego małego wypadeczku, który zapisaliśmy na korzyść moralnie zaniedbanych dziatek — Krakowowi nic nie zakłóciło spokoju — i nic nie nadwerężyło jego powagi europejskiéj. — Bo do wieczorków w Resursie mieszczańskiéj i do odczytów na rozmaite dawanych korzyści — Kraków przyzwyczaił się w czasie postu. Nawet otwarcie wystawy obrazów nie wpłynęło nic na równowagę stosunków, jakie zachowuje stolica nasza w obec Chin i państw ościennych — a to z tego powodu, że katalog spisu arcydzieł zgromadzonych w domu Larysa, w obecnéj porze tradycyjnéj postu — wygląda chudziéj stokfisza — bo liczba zaledwie cokolwiek przechodzi zero. Może to wreszcie narodowa a głęboko w nas tkwiąca pogarda dla sztuki i jéj mistrzów jest temu przyczyną, bo i obrazy śp. Grottgera wystawione w sali Towarzystwa Naukowego krakowskiego — oprócz uczonych mężów tegoż Towarzystwa, nie wabią do siebie nikogo — chociaż, ma petite parole d'honeur, bardzo drogo kosztuje sprowadzenie ich (nie uczonyh mężów — a obrazów) z Paryża do Krakowa. Widząc, że styl mój cokolwiek nie jasny, i że zaczynam wpadać w nawiasy rzecz arcyniebezpieczną, przy podejrzliwym charakterze czytelniczek — nim dojdę do kropki, na wzór afiszera i wszystkich briefträgerów oraz kominiarzy — życząc moim pięknym a łaskawym czytelniczkom wesołego Alleluja i... dobrego apetytu — przyrzekam zrobić o ile się da najwięcéj wizyt. A wszystko co tylko przez ten czas posłyszę lub zobaczę, zanotuję do przyszłéj Kroniki.... Jeżeliby mi się zdarzyło kogo porównać z szynką lub głowizną, to proszę naprzód o pobłażliwość, bo rzeczy takie często przytrafiają się nawet i najpoważniejszym organom prasy galicyjskiéj — zapewne wskutek przeładowanego natchnienia.

* * *

Mody na kwiecień.

Opis ryciny.

Pierwsza osoba w stroju spacerowym z popielatéj alpaka. Spodnica garnirowana falbaną i fałdowanym garnirónkiem z téj saméj co suknia materyi. Taki sam garnirunek ozdabia suknię wierzchną z przodu. Bocznie bryty sukni są w okrąg zcięte i frandzlą, plisą ukośną, oraz fałdowanym garnirunkiem obszyte. W tyle suknia jest ułożona w trzy duże bufy zakończone od dołu falbaną. Stanik koszulkowy okrywa mantylka z krótkiemi końcami. Kapelusz popielaty krepowy ubrany białą blondyną.

Druga dama w stroju wieczorowym, nosi suknię z białéj tafty, która u gorsu jest cokolwiek przymarszczoną. Fontazie z pąsowéj atłasowéj wstążki na przodzie sukni umieszczone. Wierzchnia su-

knia z pąsowego atłasu obszyta fałdowaną koronką. W tyle w stanie suty fontaż z krótkiemi końcami.

Opis krojów.

Koszulka tybetowa.
Fig. 1. Przód }
Fig. 2. Plecy } * * * * *
Fig. 3. Rękaw }

Podług tych figur kraje się z tybetu podwójnie i podług głosek od E. do F. z boku a od G. do H. na ramionach zeszywa się. Przód i plecy ubierają się podług znaków paskami z atłasu, które są brzegami koronką obszyte. Spięcie przodu ubrane guzikami atlasowemi. Rękaw podług głosek zeszyty ubrany stósownie atłasem i koronką.

,Stan perkalowy.

Fig. 4. Przód }
Fig. 5. Boczek } — × — × — × — ×
Fig. 6. Plecy }
Fig. 7. Rękaw } oo — oo — oo

Wszystkie części krają się z perkalu podwójnie (plecy bez zeszycia w tyle) zeszywają się podług głosek stębnem i w odstępie na pół palca na rożki się przeszywa, które się dobrze przymocują za pomocą wykłótych dziurek. Koło gorsu i dołem stanu przyszywa się wypustka, a prócz tego koło gorsu daje się wstawka koronkowa i koroneczka. Taki stan służy pod białe mulowe koszulki i lekkie staniki.

Mantylka „Dina“.

Fig. 8. Przód }
Fig. 9. Plecy } • • • • • • • • • • • •

Plecy krają się z tiulu w całości. Tak ukrojone plecy fastrygują się od C. do dołu, by urządzić kapturek, który spada na plecy. Tak urządzone plecy zeszywają się na ramionach z przodami. W końcu cała mantylka obszywa się gipiurą i trzy razy aksamitkami lub atłasowemi wstążeczkami.

Pasek do spodniczki dla dziewczynki.

Fig. 10. Połowa paska. — — — —

Ukrojony podwójnie z perkalu, z przodu wskos położonego.

Czepek nocny dla nowo narodzonych dzieci.

Fig. 11. Środek }
Fig. 12. Boczek } × • × • × • × •

Środek i boczki krają się z cienkiego płótna, zeszywają się gęsto za igłe i podszywają na około, obrębia się i koroneczką obszywa. Tasiemeczki przyszywają się do związania.

Czepeczek dla dziewczynki do 6 miesięcy.

Fig. 13. Środek }
Fig. 14. Boczek } — — — — —
Fig. 15. Listewka }

Środek kraje się z cienkiego mulu, po zmarszczeniu tegoż zeszywa się wierzchem z wstawką łączącą boczki ze środkiem od A. do B. Boczki krają się z mulu i gładko koroneczką w małych od siebie odstępach obszywają. Koło twarzy obszywa się czepeczek garnirónkiem z koroneczką obszytego mulu, tyl zaś pojedynczą koroneczką.

Czepek dla chłopca do 6 miesięcy.

Fig. 16. Czółko }
Fig. 17. Denko } • • • • • •

Czepek złożony jest z wstawek koronkowych, denko także z takich wstawek jest ułożone. Gdy już cały czepeczek jest zeszyty, obszywa się w koło paskiem mulowym i garnirónkiem z mulu, obszytego koroneczką. W karczku ściąga się czepeczek na wązkie tasiemeczki.

Trzewiczek z pąsowej flanelki.

Fig. 18. Wierzch }
Fig. 19. Bok } — • — • — • — • —
Fig. 20. Podeszwa }

Ukrojone części z flanelki i perkalu watują się cienko i w drobną kratkę pikują. Po wypikowaniu zeszywają się boki stębnem, z wierzchu położywszy kraje jedne na drugich a podszewka się zapodszywa, w końcu wzywa się podeszwa, którą można cienką skórką podszyć. Uszyty trzewiczek garniruje się kutasikami, lub wstążeczką i na guziki z przodu zapina.

(Odwrotna strona arkusza).

Paletot „Coricola“.

Fig. 21. Przód }
Fig. 22. Bok } ————————
Fig. 23. Plecy }
Fig. 24. Połowa spodniéj części }
Fig. 25. Rękaw } — — — — —
Fig. 26. Szarfa }
Fig. 27. Pasek } o o o o o o • o

Gdy ukrojone wszystkie części z ciężkiéj jedwabnéj materyi, trzeba głównie zwrócić uwagę na banie od A. do B., gdyż ta formuje złączenie z plecami. Linia od E. do B. zakłada się w wązki obrąbek i z plecami i boczkiem zeszywa. By urządzić w tyle bufy łączy się ze sobą E. do F. i znowu E. tj. dolne E. zeszywa się do górnego E. z téj saméj strony, przez co brzeg od E. do F. sam z siebie we fałd się ułoży, i uformują się bufy, które szarfą są ogarnirowane. Górna część szarfy układa się we fałdy kropką na krzyżyk, i od E. do gwiazki przyszywa. Oznaczone na dole fałdy szarfy przyszywają na krzyżykiem oznaczonéj części bufy, przez to przyszycie formuje pukiel, z pod którego wolno spada krótka szarfa. Szwy od E. do B. przykrywa część spodnia cokolwiek przymarszczona i fałdowanym garnirónkiem obszyta. Paletot opasuje się paskiem jedwabnym, podszytym materyjką czarną. Pomiędzy wierzch i podszycie paska daje się klejowe płótno dla lepszéj tęgości. Z przodu paletot i pasek zapinają się na haftki. Na dziewięć centimetrów szeroka falbana obszyta jest na około paletota wychodząc z przodu z pod paska a kończąc się w tyle pod szarfą.

Paletot „Perichole“.

Fig. 28. Przód }
Fig. 29. Bok } * * * * *
Fig. 30. Plecy }
Fig. 31. Kołnierz }
Fig. 32. Rękaw } × o × o × o × o

Gdy wszystkie części są pokrajane (kołnierz kraje się w potrójnéj wielkości, zeszywają się plecy, boki i ramiona podług stósownych głosek. Naokoło paletota obszywają się trzy plisy jedna nad drugą z téj saméj materji co paletot zrobiony i przepasują się wskos rulonami z atłasu. Dołem paletota obszywa się na trzy palce szeroka ukośna falbanka. Kołnierz złożony jest z trzech części różnéj wielkości stósownie do paletota ugarnirowany na plecach we fałdy (krzyrzyk do gwiazdki) ułożony i koło szyji wraz z paletotem wypustką obszyty. W tyle na fałdach kołnierza i na bokach u dołu są rozety okrągłe z atlasu, obszyte na około wązką falbanką. Rękaw jest stósownie ogarnirowany.

Paletot z wykładem.

Fig. 33. Przód
Fig. 34. Bok do przodu } • • • • • • • •
Fig. 35. Bok do pleców
Fig. 36. Plecy
Fig. 37. Szarfa } × — × — × — × — × —
Fig. 38. Rękaw

Ukrojone z przeznaczonéj materji części zeszywają się podług głosek. Z przodu robią się małe wszytki a od E. do F. zeszyty bok dostaje wyłożenie zrobione tym sposobem: na odwrotnéj stronie przyszywają się stósownéj wielkości kawałki aksamitu lub atłasu, i lamuje się brzegiem lub sztafiruje. Gdy już tak zrobione odwraca się te wykłady na wierzch i rozetą z atłasu przytrzymuje. Szarfa robi się z téj materji, jaką jest paletot ozdobiony, pasek takiż sam jak szarfa. Przyszycie szarfy pokazują oznaczone gwiazdki.

Spodnica spodnia. (stósowna do paletota)

Fig. 39. Bryty × • × • × • × • × •

Przód spodnicy kraje się w całości tylko z boków od A. do B. wskos się zcina, bocznie bryty mają być także od B. do C. proste i stósownemi głoskami do przodu przyszyte. Bryt w tyle D. potrzeba podwoić w szerokości i do bocznych brytów przyszyć. Rozporek robi się z boku od D. a ponieważ na każdém zeszyciu daje się głęboki fałd, więc i rozporek jest przez to skryty. Bryt tylny układa się we fałdy, podszyte sztywną organtyną.

Wierzchnia spodnica.

Fig. 40. Bryty spodnicy } — • — • — • — •
Fig. 41. Podszewka do szarfy
Fig. 42. Części szarfy } • • • • • • •
Fig. 43. Bufka do szarfy

Spodnica wierzchnia kraje się tak samo jak poprzedzająca i podług głosek się zeszywa. Dołem daje się fałdowana falbana. Po uszyciu spodnicy podpina się tylny bryt podług znaków we fałdy. Szarfa układa się z dwóch buf i trzech części pojedynczych ułożonych we fałdy i na sztywnéj organtynie przyszytych, tak, aby najprzód szła część pojedyncza od dołu, potém bufa większa na nią, druga część pojedyncza znowu bufa mniejsza, a na zakończenie trzecia część pojedyncza, przytrzymana paskiem w stanie.

Kołnierz i mankiet „marynarski“.

Fig. 44. Połowa kołnierza } × • × • × • × •
Fig. 45. Mankiet

Robi się z wstawek ze sobą zeszywanych z płótna, perkalu białego lub kolorowego.

Opis wzorów.

Nr. 1. Nakrycie z tiulu grubego podkładane mulem. Brzegi są grubym sznurkiem obrodione i puste miejsca z mulu wycięte i tylko tam zostawiony gdzie jest podług wzoru konieczne.

Nr. 2 i 3. Szlak i narożnik do baszlika kolorowemi jedwabiami atłaskiem haftowane.

Nr. 4. Nakrycie na stoliczek. Na szarem płótnie przyszywa się cały wzór wycięty z białéj piki, łańcuszkiem z czarnego jedwabiu. Wyszycie brzegiem jest z białego bawełnianego szutaziu przyszytego czarnym jedwabiem. Brzeg nakrycia jest lamowany białą piką.

Nr. 5. Nakrycie z białéj piki wyszyte białym sznureczkiem, na brzegu jest grubo obdzierzgane białą bawełną. Medalion we środku jest z żółtéj piki, na któréj czarnym jedwabiem wyhaftowana ruskim ściegiem wiązanka róży.

Nr. 6. Nakrycie z białéj piki kolorowemi jedwabiami haftowane.

Nr. 7. Szlak do majtek haft biały.

Nr. 8—9. Wzór do haftu na kołnierz i mankiety z cienkiéj weby.

Nr. 10—11. Wzór do haftu na kołnierz i mankiet z mulu. Puste miejsca (bez haftu) wypełniają się wstawką koronkową.

Nr. 12—13. Krawatka i mankiet. Do haftowanego końca dodaje się stósownie długi równy kawałek mulu, a potém na około obszywa się koroneczką.

Nr. 14—15 Ozdoba do kołnierza i mankiet płóciennych.

Nr. 16. Ozdoba do hustek od nosa.

Nr. 17—18—19. Szlaki do haftu na batyście.

Nr. 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31. Różne głoski do haftu na chustki.

*** **Nowiny ze świata** Po niejakiéj przerwie ukazały się znowu „Nowiny ze świata“, pismo poświęcone dla ludu, a redagowane dawniéj przez p. Leśniowską, obecnie przez pana Czesława Pieniążka. Konieczność takiego pisma — w społeczeństwie naszém jest aż nadto dobrze uznaną, byśmy jeszcze o tém mówić mieli.

Jakkolwiek bądź, uznajemy całą zasługę, jaką na tém polu położyła p. Leśniowska, wytrwałą i mozolną pracą — nierównie donioślejsze dzisiaj rokujemy „Nowinom“ stanowisko, gdy przeszły w ręce męzkie. Byle tylko obecna Redakcja pojąwszy, że Lud nasz to czysta i nieuprawna jeszcze gleba — gdzie prawie każde ziarno rzucone — zejdzie i wykształci się na owoc — baczyła pilnie, co rzuca na rolę przyszłości....

Nie przesądzając pracy — staropolskim zwyczajem powiemy: Szczęść Boże!

☛ Do Nru dzisiejszego dołącza się prospekt na „NOWINY ZE ŚWIATA“.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Szewska (pod Barankiem) l. 221, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **procz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1869.